

WĘDROWIEC ŚWIĘTOKRZYSKI

· MIESIĘCZNIK ŚWIĘTOKRZYSKIEGO URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO W KIELCACH ·



Pod patronatem wojewody

Złot SHL-ek

www.obywatel.gov.pl

Obywatelska inicjatywa

Temat miesiąca

Dlaczego polskie horrory nie straszą?

W numerze

Przegląd wydarzeń	3
Temat miesiąca	4
Świętokrzyski zlot SHL-ek	7
Wieści z urzędu	8
Zatrzymane w kadrze	8
Pakt przeciwko dopalaczom	9
Obywatelska inicjatywa	9
Z naszego regionu	10
Poznaj świętokrzyskie zakątki	10
Bilet do teatru	11
Zygzakiem	12
Przepisy kulinarne	12

Fotofelieton



- Spójrz, Puchatku - rzekł nagle Prosiaczek - coś tam siedzi na Sośnie. (...) Puchatek skinął łebkiem. - To jest Jagular - powiedział. - A co robią Jagulary? - spytał Prosiaczek z iskrą nadziei, że nic. - One zaczajają się w gałęziach drzew i spadają na tego, kto przechodzi pod spodem - rzekł Puchatek. - Krzysz mi o tym powiedział (A.A. Milne „Chatka Puchatka”).

Konkurs dla czytelników

Rozwiązanie konkursu z poprzedniego numeru:

Jest to Graduał Wiślicki.



Graduał to śpiew religijny zmieniający się w poszczególnych okresach roku liturgicznego. Graduałem nazywa się także zbiór pieśni i modlitw, ujętych najczęściej

w formę pięknie oprawionej i iluminowanej księgi. Pochodzący ze skryptorium wawelskiego Graduał Wiślicki, zawierający w sobie pieśni chorału gregoriańskiego, został ofiarowany przez kanonika Jana Długosza kapitule wiślickiej około 1300 roku. Ta bezcenna średniowieczna księga, wspaniały zabytek dawnej muzyki, przechowywana jest w zbiorach Biblioteki Wyższego Seminarium Duchownego w Kielcach.

Wśród najważniejszych polskich graduałów wymienia się także, oprócz wiślickiego, Graduał Bolesława Mazowieckiego z XIII w. (z katedry w Płocku) czy Graduał Jana Olbrachta, ufundowany ok. 1505 roku przez króla dla katedry wawelskiej. Tego typu manuskrypty są ważnym źródłem do badań zarówno chorału gregoriańskiego czy rozwoju kultury muzycznej, jak też sztuki zdobniczej.

Fragmentów Graduału Wiślickiego można było wysłuchać w murach bazyliki na Świętym Krzyżu, podczas koncertu współorganizowanego przez wojewodę świętokrzyskiego. Pieśni zostały wykonane przez wrocławskich kameralistów Stoltzer Ensemble pod dyrekcją Piotra Karpety. Zespół wystąpił w składzie: Piotr Karpeta (baryton), Rafał Chałabala (bas), Maciej Gocman (tenor) i Radosław Pacholek (kontratenor). Z kwartetem gościnnie wystąpili Robert Pożarski (autor transkrypcji tekstów) oraz kielecki

muzyk Łukasz Mazur. Zespół zaprezentował także utwory Thomasa Stoltzera, Mikołaja z Radomia oraz Jerzego Libana.

Na zdjęciu: koncert Stoltzer Ensemble na Świętym Krzyżu, 9 sierpnia 2015 r. (fot. Katarzyna Rogalska-Piekarczyk).

Nagrodę w konkursie otrzymuje Aleksandra Grudzień. Gratulujemy! (prosimy o kontakt z redakcją).

Nasze kolejne pytanie:

Edmund Niziurski w swych powieściach dla młodzieży (np. „Klub Włóczykiów”) stworzył charakterystyczną postać przestępcy „wyższej kategorii”, który roztaczał wokół siebie woń waleriany, zwykł był bowiem nadużywać walerianowych kropli. Proszę podać jego imię i nazwisko.

Na odpowiedzi czekamy do 21 września 2015 r. pod numerem telefonu 41 342 12 32 lub adresem poczty elektronicznej: agata.wojda@kielce.uw.gov.pl (prosimy o podanie imienia i nazwiska oraz telefonu kontaktowego). Wśród czytelników, którzy udzielą prawidłowych odpowiedzi, rozlosujemy nagrody.

Wydawca:

Świętokrzyski Urząd Wojewódzki w Kielcach
Al. IX Wieków Kielc 3, 25-516 Kielce
www.kielce.uw.gov.pl
tel. 41 344 29 56, fax 41 344 48 32
e-mail: wojewoda@kielce.uw.gov.pl

Miesięcznik redaguje Biuro Prasowe Wojewody
tel. 41 342 12 32

(Agata Wojda – rzecznik prasowy wojewody)
e-mail: agata.wojda@kielce.uw.gov.pl

Na okładce: miłośnikiem zabytkowych SHL-ek jest pięcioletni Olgierd, który na motocyklowy zlot do Chęcin przybył z mamą i dziadkiem.

ISSN 2392-3393

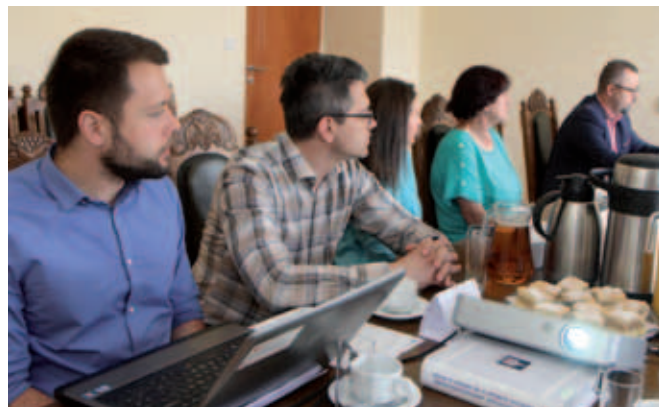
Skład i łamanie: COLOR PRESS art Sp. z o. o.
www.colorpress.com.pl

Przegląd wydarzeń



Wojewoda Bożentyna Pałka-Koruba przywitała w Kielcach uczestników 50. Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej. Kadrowka wyruszyła z krakowskich Oleandrów w rocznicę wymarszu legionistów Józefa Piłsudskiego. Trasa wiodła historycznym szlakiem przez Michałowice, Słomniki, Wodzisław, Jędrzejów, Chojny nad Nidą, Chęciny i Szewce do Kielc. Złożono kwiaty na grobach poległych legionistów i żołnierzy z wojny polsko-bolszewickiej oraz przed pomnikiem Czynu Legionowego. Główna część kieleckich uroczystości odbyła się przed pomnikiem Marszałka Józefa Piłsudskiego na Placu Wolności oraz przed dawnym pałacem biskupów krakowskich. Pierwsza Kompania Kadrowa była pierwszym, od zakończenia powstania styczniowego, regularnym oddziałem armii polskiej.

Pod przewodnictwem wojewody obradowało Prezydium Wojewódzkiej Komisji Dialogu Społecznego. Podczas spotkania w Świętokrzyskim Urzędzie Wojewódzkim dyskutowano na temat kwestii związanych z dalszym funkcjonowaniem Szpitala Specjalistycznego Ducha Świętego w Sandomierzu. Posiedzenie WKDS zostało zwołane na wniosek związków zawodowych działających w placówce. Stanowisko strony związkowej na temat projektu przekazania większościowych udziałów prywatnemu inwestorowi przedstawiła przewodnicząca NSZZ „Solidarność” w szpitalu, zaś stanowisko władz powiatu zaprezentowali starosta sandomierski oraz dyrektor lecznicy.



Uroczystości z okazji Święta Policji odbyły się we Włoszczowie. Wzięła w nich udział wojewoda. Podczas oficjalnej części, Świętokrzyski Komendant Wojewódzki Policji podziękował policjantom za wzorową służbę oraz ich zaangażowanie w poprawę bezpieczeństwa naszego województwa. Tegoroczne obchody były szczególnym momentem dla włoszczowskich funkcjonariuszy. Tamtejszej Komendzie Powiatowej Policji został nadany Sztandar Policji, który jest symbolem honoru i godności, męstwa, dumy i etosu policyjnej służby. Zasłużeni policjanci otrzymali odznaczenia „Zasłużony Policjant” i „Zasłużeni dla Policji” oraz medale „Za Długoletnią Służbę”. Zostały również wręczone akty mianowania funkcjonariuszy na wyższe stopnie policyjne.

Wojewoda przewodniczyła posiedzeniu Komitetu Sterującego Szwajcarsko-Polskim Programem Współpracy dla Projektu KIK/57. Celem spotkania była m.in. analiza postępu rzeczowego oraz finansowego projektu „Podniesienie jakości usług świadczonych w Jednostkach Organizacyjnych Pomocy Społecznej w celu wzmocnienia podmiotowości i aktywności życiowej podopiecznych”. Ponadto uczestnicy obrad zostali zapoznani z wynikami wizyty monitorującej realizację projektu, która została przeprowadzona przez Instytucję Pośredniczącą. W dalszej części spotkania członkom Komitetu przedstawiono propozycję dodatkowych działań w ramach Szwajcarsko - Polskiego Programu Współpracy. Omówiono dalsze kierunki wdrażania Projektu w roku 2015.

Dlaczego polskie horrory nie straszą?

Polski horror w porównaniu z filmami tego gatunku w świecie nie może straszyć, gdyż po prostu... nie istnieje. Nasze rodzime dokonania filmowe bywają nazywane horrorami, ale to, jak pisał kilka lat temu Jacek Szczerba, tylko „miły dla oka eskapizm” i „branie horroru w inteligentny cudzysłów”, kolejne odcinki „opowieści niesamowitych” i erotycznych doznań z „wampiryzmą”, częściej zresztą zrealizowanych na motywach literatury, niż specjalnie powstałych scenariuszach. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że formuła horroru w polskim kinie była i jest zjawiskiem o zasięgu marginalnym. Ożywienie w tym obszarze pojawiło się dopiero na przełomie lat 60-ych i 70-ych XX stulecia, równoległe z zainteresowaniem wątkami grozy w polskiej kinematografii. Znikoma liczba filmów polskich o symptomach horroru przełożyła się na brak - jak dotąd - szerszego zainteresowania tym segmentem sztuki i rozrywki naukowców. Zwłaszcza historia polskiego kina grozy, a są to głównie adaptacje literatury, nie doczekała się pełnej analizy zjawiska.

Przez lata, horror stał się pewnego rodzaju rytuałem. Podczas seansu wolimy przenosić nasz strach z życia codziennego na przeżycia postaci filmowych. Wszystkie lęki egzystencjalne z rzeczywistości na czas odbioru filmu grozy przenosimy na nierealne wampiry, wilkołaki czy zombie. Porządkujemy w ten sposób nieogarnięty świat zewnętrzny w sposób magiczny. I tak jest. Bez wątplenia można przyznać autorowi tego stwierdzenia rację. Moim zdaniem jednak, musi być dodatkowo spełniony jeden warunek – to nie może być horror kręcony w Polsce przez Polaków. Jeśli horror jest kręcony w Polsce przez Polaków powinien nosić miano polskiego horroru. Jaka to różnica? Otóż zasadnicza – polski horror nie straszy. Zatem uściślając – różni się on od klasycznego horroru tym, że widz się na nim nie boi. Poza tą „skazą”, że nie straszy, polski film grozy jak najbardziej wpisuje się w konwencję horroru. Można się spierać czy ta, bądź co bądź, niedoskonałość, jest kwestią talentu twórców filmu, wyboru aktorów czy też zbyt niskiego budżetu, ale jedno jest pewne, jest to swoisty podgatunek kina, nieporównywalny z horrorami innych kinematografii narodowych. Potwierdzają to wszyscy próbujący siłą w badaniach na temat polskich horrorów, filmów grozy, pełnych wampirycznych, demonicznych i okultystycznych odniesień.

W tym miejscu pragnę zauważyć, że specyfika horroru polega w dużej mierze na „wynegocjowaniu” jego charakteru przez twórców filmu i widzów. Za dzieła stworzone w efekcie tego swoistego dialogu można uznać polskie filmy grozy. Nie są one klasycznymi horrorami, zabierają jednak widza w krainę grozy i niepokoju. Możemy pokusić się o stwierdzenie, iż właśnie powyższe odczucia są dla polskiego filmu grozy normą, a typowość ta jest bez wątpienia jego mocną stroną.

Niekwestionowanym walorem polskich filmów z gatunku horroru okazały się scenariusze oparte na dziełach literackich, które wcześniej odniosły sukces czytelnicy. Faktycznie należy podkreślić, że najlepsze kino grozy w Polsce to wolne ekranizacje, uznanych za artystyczne i interesujące treściowo, powieści i opowiadań. W moim odczuciu na szczególnie wyróżnienie zasługują następujące filmy: „Lokis.

Rękopis profesora Wittembacha” Janusza Majewskiego z 1970 roku, powstała dwanaście lat później „Wilczyca” Marka Piestraka oraz „Widziadło” Marka Nowickiego z 1983 roku.



Źródło: horrorpedia.com

Prof. Alicja Helman zauważyła, że jedną z najbardziej powszechnych opinii o adaptacjach filmowych utworów literackich jest przekonanie, iż „łatwiej zrobić wybitny film na podstawie przeciętnej powieści, niż przenieść na ekran arcydzieło. (...) Nie znaczy to jednak, że wolno nam sformułować tezę w postaci aksjomatu: arcydzieło literackie + mierny reżyser = zły film i jego alternatywy: przeciętna powieść + wybitny reżyser = znakomity film”. W wymienionych wyżej przypadkach mamy do czynienia z wybitną i niezłą literaturą oraz powstałymi na jej kanwie artystycznymi i mniej udanymi filmami. To właśnie na przykładzie tych trzech adaptacji literatury na ekran podejmują próbę odpowiedzi, dlaczego filmy te, mieszcząc się w konwencji grozy (horroru) – zwyczajnie nie straszą.

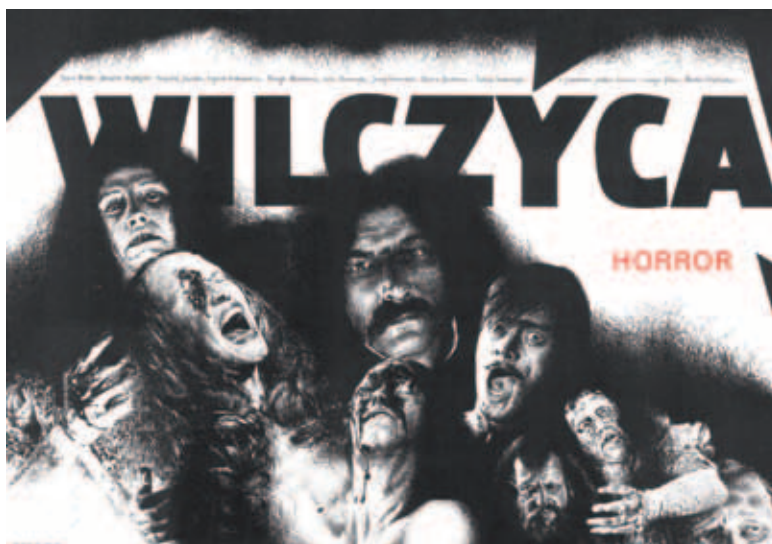
Analizę warto zacząć od kultowego już filmu „Wilczyca”, opartego na opowiadaniu współczesnego pisarza, z urodzenia kielczanina, Jerzego Gierałtowskiego pt. „Wadera”. Dzieło nawiązuje do schematu literatury grozy rodem z XVIII-wiecznej powieści gotyckiej. Odnajdujemy w nim zatem byłego żołnierza, plenipotentę majątku hrabiego, osamotnionego w walce z demonem, jest upiór nawiedzający postać pięknej kobiety, opuszczona karczma na pustkowiu, jesienny krajobraz ostatnich chwil powstania styczniowego, noc, wichura i ponury deszcz, czyli wszystko co Polakom starszego i średniego pokolenia kojarzy się z polską wersją literackiego, jak również filmowego horroru.

Nadmienię, że „Waderę” czyta się również teraz z dużą przyjemnością, „zatapiając” wręcz w fabułę, bezwiednie „wchodząc” w świat przedstawiony przez autora. Opisy Gierałtowskiego, w której zbudował literacką fikcję osaczają czytelnika obrazami i dźwiękami, tak że niemal słyszymy tętent biegnących koni, skrzypienie jadącej kolasy, czujemy zapach stajni, oddech czyhającego za plecami upióra, wreszcie jesteśmy ostatnimi z powstańców, przekonanych o słuszności sięgnięcia po szablę w obronie ojczyzny przed carskim wojskiem, nawet za cenę życia. Faktycznie trudno nie poddać

się nastrojowi opowiadania, dzięki któremu możemy przenieść się w XIX stulecie i na własnej skórze poczuć grozę porozbiorowej Polski.

„Wilczyca” w reżyserii Marka Piestraka, ze scenariuszem samego Gierałtowskiego, pomimo upływu lat, nadal ma zagorzałych zwolenników, podkreślających zaklęty w nim „polski klimat”. Oczywiście nie wszystkim podoba się „Wilczyca”. Była i jest krytykowana przede wszystkim za „kiczowatość”, słabość dialogów, nie wspominając wręcz o scenografii, kostiumach i charakteryzacji, która jest jakby celowo kompletnie sztuczna i tandetnie wykonana, czego na ekranie nie można nie zauważyć. W tym miejscu warto zwrócić uwagę na recenzję z 1991 roku opublikowaną w tygodniku „Film” autorstwa Rafała Wilkusa. Krytyk uwypuklił wszystkie słabości tzw. „polskiego horroru”, choć w zamierzeniu miała to być opinia o „Wilczycu”. Pisał, że „filmowi brak stylu, brak również elementów niespodzianki. Kolejne kulminacje możemy łatwo przewidzieć, podobnie jak finał, w którym główny bohater okazuje się jednocześnie nieustraszoną patriotką i pogromcą wilkołaków. W efekcie widz może śmiało stwierdzić, że ogląda horror patriotyczny, połączony z obrazem grozy nieco mechanicznej”. Film skrytykował również redaktor „Kina” Andrzej Kołodyński: „Piestrak przestrzega nie tyle reguł gatunku, co jego konwencji. Gromadzi elementy i wątki kojarzące się z klasyczną opowieścią grozy.” Nie sposób nie zgodzić się z zarzutem Kołodyńskiego, że film nie daje widzowi dreszczyku strachu, gdyż reżyser po prostu się nie postarał. Zebrał na ekranie jedynie rekwizyty przywołujące w naszej wyobraźni stan niepokoju wywoływanego grozą, ale nic ponadto. Zabawne w sumie jest jednak to, że większość widzów nie czuje się oszukanych, gdyż i tak czas spędzony na „Wilczycu” uznaje za magiczny i wyjątkowy. Osobiście uważam podobnie. Widz oglądając film, otrzymuje inteligentnie zaaplikowaną „przynętę” do uchwycenia grozy, ale przez cały film nie ma okazji danego mu haczyka „połknąć”. Oczywiście do końca nie traci nadziei, że się w końcu przestraszy. Groza w filmie Piestraka zawieszona jest na takim „niewidzialnym sznurku”, która gdy już jest tuż tuż, oddala się niespodziewanie. Jednocześnie pozostawia tak duży niedosyt emocji strachu, że albo opuszczamy miejsce projekcji, albo śmiejemy się z siebie.

Kolejnym polskim horrorem, któremu chciałbym się przywrzeć jest film Janusza Majewskiego z 1970 roku „Lokis. Rękopis profesora Wittembacha”. Jest to adaptacja dzieła Prospera Mérimée pod tym samym tytułem według scenariusza reżysera filmu. Groza, zarówno w noweli, jak i w ekranizacji, i tym razem budowana jest bardzo powoli, a swoją specyfiką nawiązuje do romantycznych ballad i romansów. Można śmiało stwierdzić również, że jest to adaptacja, jeśli chodzi o treść, wierna literackiemu oryginałowi. Od początku do końca film zachowuje narrację fabuły książkowej. Jest ona linearnie odwzorowana, co w przypadku „Lokisa” jest uzasadnione i pożądane. Każda minuta filmu jest doskonałym zabiegiem formalnym i zmierza stopniowo do oczekiwanego finału. Nie ma wątków pobocznych, reżyser całą uwagę odbiorcy skupia na tajemnicy protagonisty. Dzięki temu widz bezwiednie może i tym razem, czyli podobnie jak w „Wilczycu”, „zatopić się” w przedstawionym świecie dziewiętnastowiecznego majątku ziemskiego na Żmudzi. W tym miejscu chcę po raz kolejny podkreślić to, co w polskim horrorze



Źródło: wrongsideofheart.com

jest rzeczą najważniejszą, czyli nastrój jak z horroru, choć horror... nigdy nie nadejdzie, pozostawiając w nas uczucie niedosytu i wręcz złości, ale z drugiej strony dając nam błogą radość z zabawy w kino grozy.

W filmie Majewskiego dosłownie wszystkie elementy zostały podporządkowane, by stworzyć efekt jakiejś iluzorycznej, poetycko wysmakowanej przestrzeni, cudownej fantastyki. Nastrój budują baśniowe knieje Żmudzi, wiedźma zaklinająca węża i wreszcie sam hrabia balansujący pomiędzy racjonalnym bytem człowieczym, a nadprzyrodzoną formą niedźwiedzia. To „zawieszenie” głównego bohatera w oku widza trwa nieprzerwanie od pierwszej sceny z udziałem hrabiego. Wciąż zastanawiamy się czy to faktycznie król litewskiej puszczy zaklęty został pod postacią człowieka, czy tylko nam się tak wydaje. Wątpliwości podsyca dodatkowo postać obłąkanej matki hrabiego, która paradoksalnie jako jedyna zdaje sobie sprawę z realnego stanu rzeczy. Podobnie jak w przypadku wcześniej omawianej „Wilczycy”, mamy wrażenie nadchodzącej, czającej się gdzieś za plecami grozy. Nigdy ona jednak nie nadchodzi... I tym razem widzowie jednak nie mają poczucia zawodu, wręcz przeciwnie, ulegają czarowi filmu Janusza Majewskiego.

Trzeci z kolei obraz, który uznaję za typowo polski horror to „Widziadło” Marka Nowickiego. W tym miejscu należy zwrócić uwagę, że każdy z przytaczanych filmów jest zupełnie inny jeśli chodzi o treść i przesłanie, a jednak łączy je ów efekt – w cudzysłowie – „wystrychnięcia na dudka” publiczności, która była gotowa się wystraszyć do utraty tchu. W każdym przypadku było inaczej, ale stan emocji widzów został wystawiony na dużą próbę: zapowiadało się bowiem, że będzie strasznie, a nic z tego nie wyszło. Łączy również ów niesamowity nastrój.

„Widziadło” to film, podobnie jak poprzednie, hipnotyzujący w nastroju. Bać się tutaj nie ma czego, ale za to przez cały film na widowni rośnie uczucie nerwowości, niezwyklej atmosfery niepokoju. Oczywiście łatwo rozsmakować się w dekadentckim obrazie jesieni, wręcz jej zapachem, kiedy deszcz, wiatr, opadające liście prowokują naszą wyobraźnię, aby pozwoliła uwierzyć, że to co się dzieje na ekranie jest realnością. „Widziadło” jest wolną adaptacją „Pałuby” Karola Irzykowskiego. Właściciel dworku Piotr Strumiński wie, że rodzinne życie gdzieś w swoim folwarku z dala od miasta. Rodzina z pozoru tylko wydaje się być szczęśliwą. Przyczyną większości przykrych rzeczy jest niedający spokoju mężczyźnie duch byłej żony Angeli. Warto zadać pytanie czy to duch, czy tylko wyobrażenie ducha, w każdym



Źródło: vod.pl

razie mamy z reżyserem umowę, że czujemy stale owego ducha obecność. Główny bohater „Widziadła” po śmierci żony próbuje zbudować swój świat oparty na kulcie ukochanej. Ten kult staje się dla niego narzędziem do uporządkowania rzeczywistości, a wszystkie inne postaci w jego otoczeniu stają się elementami tego porządku. Ma to swoje odzwierciedlenie zarówno w świecie ukazwanym przez reżysera filmu, jak i w fabule powieści Irzykowskiego. Z „niewinnej igraszki miłosnej” staje się wielowątkowym studium psychologicznym całej rodziny Strumięńskich.

W efekcie przebiegu zdarzeń główny bohater popada w obłąd. W każdej bowiem kobiecie widzi Angelę i nie może opanować silnego pragnienia miłości fizycznej, albo rzeczywiście ma do czynienia z upiorem byłej żony. Niespodziewanie nastroj niepewności, zwińdów, emocji nasyconych erotyzmem wsacza się na ekran delikatnie, co udziela się oglądającym.

Filmowy Strumięński faktycznie „niezdrowo” czci zmarłą żonę i praktycznie całe życie podporządkował myślom o ukochanej. Oczywiście trudno uwierzyć w jej ducha, który nadal chodzi po świecie. Prędzej dostrzec natomiast obłąkanie, być może toksyczne, zakochanego człowieka, który nie może czy też nie chce lub nie potrafi przestać pragnąć kobiety, której nie ma wśród żywych. W każdym razie „Widziadło” to kolejna porcja gry z widzami „w horror”. Tym razem jest to horror psychologiczny o zabarwieniu erotycznym, z żądzą, chucią, nienasyceniem. Pozostaje więc pytanie, co by było, gdyby Strumięński pod wpływem szalonych myśli po prostu chwycił za nóż... Może byłby to prawdziwy horror? Podsumowując, omówione produkcje to wyjątkowe obrazy zwracające uwagę na gatunkową odrębność polskiego horroru w porównaniu z dziełami innych kinematografii. Wyróżniają się nastrojem niesamowitości lub strachu, ulotnością, mglistością scenerii, tajemnicą losów lub niedopowiedzeniami co do życia bohaterów. Nie straszą choć powinny, a i tak lubimy je oglądać. Owe liryczne, patriotyczne, wampiryczne, zjawiskowe i ponure filmy z ruinami pałacu lub upadającym dworkiem w tle, w których bardziej domyślamy się o co chodzi mieszkańcom, niż jest pokazane, to nie jest kino grozy, tym bardziej horror z prawdziwego zdarzenia. A najbardziej niesamowite w tych filmach jest to, że dla fanów „polskiego horroru” nie ma znaczenia, że w ciągu półtorej godziny boimy się tylko przez minutę (albo i nie), trochę wiercimy się w oczekiwaniu na strach, który nie nadejdzie! Wreszcie śmiejemy się z siebie lub z figur horrorów, które są bardziej śmieszne niż okrutne i straszne.

Atutem polskiego kina grozy pozostaje nastrój melancholii i czarów, zbliżającego się końca, zwiastujący nieszczęście lub zwrot wypadków spowodowany jakimś niesamowitym wydarzeniem z pogranicza jawy i snu, rzeczywistości i nierealności, zwykle z erosem, wilkołakiem lub upiorem w tle. Treść polskich „horrorów”, choć ważna, zwykle jest podporządkowana malarskości i mglistości świata nadprzyrodzonego. Są to filmy przede wszystkim do patrzenia, do sycenia oka wysmakowanymi obrazami i całą sonosferą. To one nas uwodzą, trudno powiedzieć, czy siłą literackiego przekazu na język filmu, czy dzięki realizatorom, którzy potrafili uchwycić

bliską wrażliwość Polaków estetykę romantyzmu, zaświatów, patriotycznych powinności, skłonności do kobiet, wina i broni.

Powyższa analiza może sugerować, że nie powstał w naszym kraju żaden film grozy, który straszy widzów „na poważnie”. I póki co wyjątków nie ma. Horror kręcony w Polsce, przez Polaków, to polski horror. A filmom z tego „podgatunku” brak przede wszystkim elementów zaskoczenia, tak ważnych przecież w świecie filmowej grozy.

W kontekście tym warto się zastanowić również nad bliskością mentalną widza z twórcami. Polski widz ogląda grozę, którą serwuje mu polski twórca. Być może poczucie grozy mać ta właśnie bliskość emocjonalna? Być może to, że publiczność słyszy na ekranie swój ojczysty język, nie pozwala jej do końca uwierzyć w świat przedstawiony i tym samym móc się weń zatopić? A być może z powyższych względów czujemy się tak swojsko, że nic nie jest nas w stanie przestraszyć? Pomijam już fakt, że polscy widzowie mają skłonność do wyśmiewania wszystkich prób kina gatunkowego na rodzimym rynku. To wszystko składa się na specyficzny, żeby nie powiedzieć, schematyczny i banalny, odbiór ukazujących się co pewien czas produkcji.

Bartosz Śmietkański

Pisząc artykuł korzystałem, oprócz własnych badań i wniosków, z następujących pozycji bibliograficznych:

J. Szczerba, Z dziejów horroru w Polsce, „Gazeta Wyborcza” 2007, nr 258

Noel Carroll, Filozofia horroru albo paradoksy uczuć, Gdańsk 2004,

Marek Haltof, Kino lęków, Kielce 1992,

A. Has-Tokarz, Horror w literaturze współczesnej i filmie, Lublin, 2011;

Z. Wałaszewski, Wampir - zamaskowana tożsamość, ukryta śmierć, „Kwartalnik Filmowy” Nr 31/32, (2000)

J. Dziduszko, Nie bój się, to tylko horror : o polskim kinie grozy, „Kino” R. 44, nr 4 (2010)

S.J. Konefał, Ciało i lęk : fizjologia śmierci w zombie horrorze oraz w kulturze audiowizualnej, „Kwartalnik Filmowy” R. 30, nr 61 (2008)

I. Kolańska, Kobieta i demony. O widzu horroru filmowego, Kraków 2003

A. Helman, Twórcza zdrada. Filmowe adaptacje literatury, Poznań 2014,

R. Wilkusz, Wilczyca, „Film”, 1991 nr 45,

Andrzej Kołodyński, Wadera – w języku łowieckim: wilczyca, Film, 1982 nr 8,

Świętokrzyski zlot SHL-ek

Ponad dwieście pojazdów można było podziwiać podczas IX Świętokrzyskiego Zlotu Motocykli SHL i Pojazdów Zabytkowych. Prestiżowej motoryzacyjnej imprezie patronowała wojewoda.

Dwudniowy zlot, połączony z II Weteran Moto-Biegiem, odbył się w Chęcinach oraz w Parku Etnograficznym w Tokarni. Atrakcją zlotu były parady zabytkowych motocykli i samochodów oraz wyścigi na podchęcińskich serpentynach. Oprócz kultowych SHL-ek, z modelami z lat 50. ubiegłego stulecia na czele, nie zabrakło także jednośladow WSK, Junak czy WFM. Wśród samochodów sensację wzbudzał świetnie odrestaurowany Ford T z 1925 r., na zlot przybyły także rodzime warszawy, syrenki i fiaty oraz eleganckie dawne modele zachodnich marek. Ciesząc się ogromnym powodzeniem wśród miłośników motoryzacji impreza obfitowała w liczne konkursy z nagrodami, pokazy, próby sprawnościowe oraz występy artystyczne. Głównym organizatorem zlotu było Stowarzyszenie „SHL. Historia i Fakty”.



Wieści z urzędu

Program „Bezpieczna+”

Do 15 września można składać wnioski o dofinansowanie zadań w ramach rządowego programu wspomagania w latach 2015-2018 organów prowadzących szkoły w zapewnieniu bezpiecznych warunków nauki, wychowania i opieki w szkołach „Bezpieczna+”.

Program przewiduje wsparcie finansowe ze środków budżetu państwa dla organów prowadzących szkoły (z wyłączeniem przedszkoli, szkół policealnych, pomaturalnych oraz szkół dla dorosłych) na realizację działań, których celem jest kształtowanie otwartości i budowanie pozytywnego klimatu szkoły. Kwota przeznaczona na wsparcie finansowe tych działań w roku 2015 w województwie świętokrzyskim wynosi 127 848 zł.

Wsparciem mogą zostać objęte następujące przedsięwzięcia:

1) promowanie aktywności uczniów, mających na celu zwiększenie otwartości szkoły na współpracę z otoczeniem, kształtowanie w uczniach aktywnej, otwartej, prospołecznej postawy;

2) podejmowanie działań wychowawczych, w tym rozwijających umiejętności psychospołeczne, komunikacyjne, kształtujące więzi interpersonalne między uczniami;

3) podejmowanie działań mających na celu włączanie uczniów ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi w życie społeczne;

4) podejmowanie działań umożliwiających nabycie umiejętności pracy z dziećmi i młodzieżą ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi;

5) podejmowanie działań antydyskryminacyjnych, w tym służących przeciwdziałaniu agresji rówieśniczej powodowanej stereotypami i uprzedzeniami;

6) wdrażanie programów mediacji rówieśniczej oraz programów profilaktycznych ukierunkowanych na rozwiązywanie konfliktów z wykorzystaniem metody mediacji i negocjacji;

7) podejmowanie działań mających na celu integrację z lokalnym środowiskiem.

Warunkiem udzielenia wsparcia finansowego jest zapewnienie przez organ prowadzący własnego wkładu finansowego w wysokości co najmniej 20% kosztów realizacji zadania i złożenie wniosku o dofinansowanie do dnia 15 września 2015 r do Świętokrzyskiego Kuratora Oświaty. Informacji dotyczących Programu „Bezpieczna+” oraz trybu składania wniosków udziela Beata Gawęcka-Ajchel z Kuratorium Oświaty w Kielcach, tel. 884 346 482, e-mail: beata.gawecka@kuratorium.kielce.pl. Formularz wniosku o udzielenie wsparcia dostępny jest na stronie internetowej urzędu wojewódzkiego www.kielce.uw.gov.pl.

Zatrzymane w kadrze



Pierwszy maja, początek lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Świeżo oddany do użytku gmach urzędu wojewódzkiego (wówczas Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej), ozdobiony okolicznościowym napisem. Na alei IX Wieków

Kielc formuje się pierwszomajowy pochód, a wśród osób przygotowujących się do celebracji święta pracy widać między innymi kieleckie pielęgniarzki. Autorem fotografii jest Krzysztof Wilczyński.

Pakt przeciwko dopalaczom

„Dopalacze kradną życie” - to nazwa akcji profilaktycznej łączącej wszystkich, którym zależy na walce z tymi niebezpiecznymi substancjami. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych podpisany został pakt przeciwko dopalaczom. Do akcji dołączyli m.in. przedstawiciele mediów, środowisk naukowych, sportowych oraz instytucji i organizacji pozarządowych.

Celem kampanii ma być uświadamianie młodych ludzi o niebezpieczeństwach związanych z zażywaniem dopalaczy. Akcja ma być skierowana także dla rodziców, nauczycieli oraz innych osób, które mają kontakt z młodzieżą. Oprócz działań policji skupionych na zatrzymywaniu osób rozprowadzających narkotyki, przewidziano także działania profilaktyczne i kampanię społeczną.

Inauguracji akcji towarzyszyła premiera spotu przygotowanego przez społeczność programu Komendy Głównej Policji „Profilaktyka a Ty” - program ten skupia się na profilaktyce rówieśniczej: młodzież, angażując się w działania profilaktyczne, zachęca innych do życia bez uzależnień. Uruchomiony został także profil kampanii „Dopalacze kradną życie” na Facebooku (facebook.com/dopalaczekradnazycie). Są tam publikowane m.in. aktualności dotyczące akcji, informacje o działaniach policji oraz zdjęcia osób, które dołączyły do inicjatywy.

Ruszyła również mapa inicjatyw antydopalaczowych.



Na stronie www.msw.gov.pl/dopalaczekradnazycie zamieszczona została pełna lista podejmowanych lub planowanych działań profilaktycznych związanych z walką z tymi niebezpiecznymi substancjami. Lista zawiera już kilkadziesiąt inicjatyw prowadzonych przez różne instytucje, m.in. Policję czy Ministerstwo Edukacji Narodowej. Wszystkie osoby, instytucje lub organizacje, które planują przeprowadzenie własnej akcji mogą zgłosić się pod adres dopalaczekradnazycie@msw.gov.pl.

Pakt przeciwko dopalaczom został podpisany m.in. przez

premier Ewę Kopacz, ministrów: spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, zdrowia, administracji i cyfryzacji, zastępcę Komendanta Głównego Policji. Ambasadorem akcji zostali Jerzy Owsiak oraz Marcin Gortat. - To nasz wspólny pakt przeciwko dopalaczom. Każda instytucja musi szukać coraz lepszych środków i działać skutecznie. Bardzo potrzebna jest integracja tych działań, dlatego MSW i Krajowa Rada do Spraw Przeciwdziałania Narkomanii będzie koordynować działania i inicjatywy antydopalaczowe. Każde uratowane życie niech będzie naszym celem i naszym przesłaniem – mówiła podczas uroczystości minister Teresa Piotrowska.

Obywatelska inicjatywa

Projekt „Obywatel” działa od 31 lipca - na stronie www.obywatel.gov.pl zostało udostępnionych 101 kart opisujących najbardziej popularne usługi publiczne, jakie administracja świadczy dla obywateli. Świętokrzyski Urząd Wojewódzki także uruchomił numer informacyjny - 222 500 113.

Wśród kart znajdują się również takie, które przybliżają obywatelom funkcjonowanie 19 wybranych rządowych portali tematycznych. Wreszcie informacje, jak załatwić sprawę w urzędach są dostępne w jednym miejscu. Bez podziału na resorty i właściwości, a według spraw życiowych. Opisy procedur są jak najprostsze, a cechą wyróżniającą stronę jest zrozumiały język opisu.

Na www.obywatel.gov.pl można uzyskać informacje, jak np. wyrobić dowód, paszport, prawo jazdy czy Europejską Kartę Ubezpieczenia Zdrowotnego. Ile to kosztuje, jakie dokumenty trzeba wypełnić i gdzie się zgłosić. Struktura strony nie odzwierciedla podziałów resortowych, lecz systematyzuje usługi administracji publicznej według typowych zdarzeń życiowych. Wiarygodność



opisów usług została zagwarantowana poprzez współpracę z merytorycznymi pracownikami ministerstw i jednostek podległych. Zespoły redakcyjne kontynuują prace nad kolejnymi kartami usług. Nowo opracowywane karty będą udostępniane opinii publicznej sukcesywnie.

W ramach projektu uruchomiony został także system informacji telefonicznej („Informacja dla obywatela”). To rozwiązanie dla tych, którzy nie korzystają z Internetu. Dzwoniąc pod numery telefonu Informacji dla Obywatela, dowiemy się, gdzie załatwić swoją sprawę. System działa na poziomie KPRM (infolinia centralna - 222 500 115) oraz sukcesywnie rozwijany jest na poziomie resortowym (w sumie 33 osobne numery w ministerstwach i urzędach wojewódzkich). System będzie także zbierał informacje o najbardziej skomplikowanych dla obywateli sprawach. Będą oni mogli zgłaszać swoje postulaty oraz opinie na temat administracji rządowej. Informacje te zostaną później analizowane w celu zaproponowania zmian w prawie.

Z naszego regionu

Kasztanka Marszałka



„Była lekkiej budowy, maści jasno-kasztanowej, miała trzy nogi białe w pęcicach i duża, białą 'tyśinę' na głowie. Kiedy rozpoczęła swą służbę, jako wierzchowka komendanta Piłsudskiego, miała około 4 lat” - pisał Wiesław A. Lasocki na łamach emigracyjnego „Tygodnia Polskiego”. Kasztanka, ulubiona klacz Marszałka, urodziła się w roku 1909

lub 1910 w stadninie Czaple Małe w okolicach Miechowa. Stała się najsłynniejszym wierzchowcem II Rzeczypospolitej oraz ważną częścią legionowej legendy. Wiernie służyła w polu w czasie wojny, była nad Nidą, pod Łowczówkiem, Konarami, Kostiuchnówką i w miejscach innych bojów.

„Była to prześliczna klacz. Odznaczała się inteligencją i wielką łagodnością oraz miłym i przyjaznym spojrzeniem” - wspominała Aleksandra Piłsudska. Sam Marszałek, po defiladzie, którą - jako Naczelnik Państwa - przyjął na Kasztance w święto 11 listopada roku 1920, tak opowiadał w radiowej audycji: „Czar nad czary i dziw nad dziwy. Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi, gdzie chłopiec jej szary i brudny? I łbem kiwnąwszy sięga do swego pana: ten sam-samiuteńki, lecz cóż się z nim dzieje? Patrzcie, jaki zmieniony! Na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Grzmia bębny, brzmia trąby mosiężne, idzie lud zbrojny... Kasztanka łbem kiwa i wciąż się dziwi...”.

Po wojnie Kasztanka z początku przebywała w stajniach przy Belwederze, w roku 1922 została przydzielona na stałe do 7. Pułku Ułanów Lubelskich, stacjonującego w Mińsku Mazowieckim, skąd przywożono ją Komendantowi. Ostatni raz Marszałek dosiadał swej Kasztanki 11 listopada 1927 roku podczas defilady w Warszawie. Wkrótce po tym nastąpił nagle kres jej życia - tydzień po niepodległościowych uroczystościach klacz została odesłana pociągiem do Mińska Mazowieckiego. Jej śmierć spowodowały ludzkie zaniedbania, klacz została sama w wagonie i doznała, przypuszczalnie na skutek silnych wstrząsów, poważnych obrażeń kręgosłupa. Starania lekarzy weterynarii nie przyniosły skutku. Koń zdechł po kilku dniach, 23 listopada. Marszałek był tak przygnębiony śmiercią swego wierzchowca, że - jak pisze W. Lasocki - „nie chciał w ogóle widzieć dowódcy pułku, który przyjechał zameldować mu o wypadku”. Skóra i kości Kasztanki zostały spreparowane i wypchane, umieszczono je potem w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie (po II wojnie światowej zostały zniszczone). Pozostałe szczątki pochowano przed budynkiem dowództwa 7. Pułku Ułanów i ustawiono tam głaz z napisem: „Tu leży Kasztanka, ulubiona klacz bojowa Marszałka Piłsudskiego”.

Na fotografii: Marszałek na Kasztance (zdjęcie ze zbiorów Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku - www.muzeumpiłsudski.pl).

[JK]

Poznaj świętokrzyskie zakątki

Zawichojski zamek

Zamczysko stało niegdyś na wiślanym cyplu. Dziś pozostałości jego ruin znajdują się pod wodą, a zobaczyć je ponoć można było jeszcze kilkadziesiąt lat temu, przy wyjątkowo niskim stanie rzeki. I choć zapewne trudno będzie wypatrzyć wśród nurtów Wisły śladów dawnej warowni, warto zwiedzić istniejące zabytki Zawichostu oraz podziwiać piękną okolicę.

Średniowieczny zamek, wybudowany w miejscu wcześniejszego grodziska, chronił przeprawę na jednym z ważniejszych szlaków handlowych i strategicznych dawnej Polski. Pierwsze wzmianki o murowanej twierdzy pochodzą z XV stulecia, wymienia ją Jan Długosz. Jak wyglądał, dowiadujemy się dopiero z ponad sto lat starszego opisu lustracji. Zamek ów był czworokątny, dwa boki murów mieściły budowle mieszkalne i gospodarcze, dwa pozostałe stanowił obronny mur z blankami. Kolejna lustracja, wykonana już po potopie szwedzkim, zawiera opis zniszczeń z czasów działań wojennych.

Do dewastacji zamczyska najbardziej przyczyniła się jednak Wisła, której wylewy spowodowały najpoważniejsze szkody. Były one tak duże, że postanowiono rozebrać ruiny warowni. Sejm w roku 1678 uchwalił: „rudera zamczyńskie, które extant pod Zawichostem, a reparowane byż nie mogą, rozebrać na murowanie kościoła przy Sendomirzu y do Sendomirza przewieść za zgodą wszech stanów pozwalamy”. Dzieła zniszczenia zamku Wisła dokonała podczas wielkiej powodzi w roku 1813, woda zatopiła wówczas część kępy zamkowej i rzeka utorowała sobie nowe koryto.

O wyglądzie zamku podczas wojny ze Szwedami dowiadujemy się z ryciny Eryka Dahlbergha z 1657 roku, zamieszczonej w znanej księdze Samuela Puffendorfa „De rebus a Carolo Gustavo Sueciae rege gestis”. Dahlberg był oficerem sztabu króla szwedzkiego, a do tego uzdolnionym rysownikiem i inżynierem. Na jednym z wojennych rysunków przedstawił przeprawę sprzymierzonych ze Szwedami wojsk siedmiogrodzkich i kozackich przez Wisłę pod Zawichostem. Uwiecznił przy tym widok miasta oraz stojącego na wiślanej kępie zamku, częściowo już zrujnowanego, ze spalonymi dachami i zniszczoną bramą wjazdową (poniżej fragment ryciny pochodzący z książki ze zbiorów Biblioteki Narodowej).

Co do zatopionych ruin - pozostałości ich jeszcze zapewne istnieją. W wydanej przed wojną książeczce „Zamek wśród koryta Wisły pod Zawichostem” Jan Kwiatkowski napisał: „W sierpniu i wrześniu 1928 roku w czasie pomiarów na Wiśle przy niezwykłe małym wodzie spostrzeżono, że w pewnym miejscu korywka, na przestrzeni kilku, może kilkunastu metrów kwadratowych woda stale się marszczy i wiruje. Przy gruntowaniu wiosłem okazało się, że jest tam kamień czy cegła, względnie mur (...). Starsi miejscowi mieszkańcy wyjaśnili, że przed rokiem 1914 wydobywano w tym miejscu spod wody kawałki cegły”.

[JK]



Każda porcelanka kiedyś pęknąć musi



Ten fragment świata jest tak piękny, że gdyby weń stuknąć odpowiedziałoby echo antycznego zgiełku. Bardzo prawdopodobne jednak, że ktoś stuknął zbyt mocno i cała porcelana z brzękiem runęła na ziemię. W „Każdy musi kiedyś umrzeć Porcelanko, czyli rzecz o Wojnie Trojańskiej” momenty są, ale w końcowym rozrachunku mam wrażenie, że to jednak fajans, a nie misińska.

Przyszan szczerze, że po spektaklu musiałem ochłonić. Choć nieco zawiadziony wychodziłem z sali, jednak

nie pozwalałem sobie na ostateczne komentarze. Chciałem sobie dać czas na refleksję. I na pewno, po pewnym czasie, notowania sztuki w moich oczach – zwykłego odbiorcy, lubiącego teatr, jednakże nie pasjonata – wzrosły. I to wzrosły dość mocno. Jednocześnie na tym nowym, ugruntowanym już w moim umyśle wyobrażeniu, to co według mnie było złe, okazało się jeszcze gorsze i naprawdę fatalne. Nie jestem nadmiernie wybredny. Uwielbiam sztukę i uważam, że każdy, ale to absolutnie każdy może być artystą. Jedynie jednostki są nimi całe życie.

O życiu i twórczości Agaty Dudy-Gracz czytałem w wielu źródłach, w pamięci najbardziej utkwiła mi opinia Janusza R. Kowalczyka, który stwierdził, że reżyserka „często sięga po metaforę, umiejętnie zamyka świat w przenośni. Łączy wyrazistą warstwę wizualną swoich przedstawień, do których zawsze przygotowuje także oprawę plastyczną z aktorskimi emocjami. Od początku pracy w teatrze mierzy się z trudnymi tekstami i omija dramat najnowszy”.

Troilus i Kresyda, stwarzani na nowo przez Agatę Dudę-Gracz, okraszani bodajże Tytusem Andronikusem i na pewno blaskiem samego Homera, to nie pierwsze doświadczenia reżyserki z Szekspirem. W 2008 roku wystawiła „Romeo i Julię” (Krakowski Teatr Scena STU), a w 2009 sztukę pt. „Otello - wariacje na temat” w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi. Szperając trochę w prasie wyczytałem, że Duda-Gracz woli „widowiskowe, pełne plastycznej urody i nasycone emocjami” adaptacje klasyki, aniżeli sztuki współczesne, bo jak sama stwierdziła „nie wierzy w egzystencjalne problemy ciepłarnianej młodzieży”.

Widowiskowo, pięknie jest i tym razem. Moim zdaniem świetna, piorunująca wręcz malarskością i przyciągająca wizualnymi szczegółami korespondującymi z gustami współczesnego widza scenografia, to jeden z najmocniejszych punktów sztuki. Już sam układ całego studia, bo to chyba najważniejsze słowo, jest ciekawy i wzbudza zainteresowanie. Każdy ma swoje miejsce. I aktorzy na scenie i publiczność na celowo ustawionych trybunach. Losowanie przed wejściem przynależności do obozu Trojan lub Greków, to dodatkowy as, którego reżyserka wyciąga z rękawa. Dzięki temu publiczność ma okazję przyrzeć się sztuce przez różną optykę. Ja broniłem murów Troi, z daleka obserwując namiot samego, potężnego Achillesa. Mimo zrozumiałych ograniczeń przestrzennych swobodnie możemy zostać wręcz wchłonięci przez ten niewielki ułamek przedstawianego świata. Niewielki, a jednak czujemy jak byśmy zwiedzili całą Troję i obóz Greków. Dekoracje w sztuce Dudy-Gracz to doskonale przynęty dla naszej wyobraźni i tylko od nas zależy czy zdołamy owe haczyki połknąć i dać się wciągnąć. Ja połknąłem. Wizualnie w stu procentach. W tyłuż samo dałem się wciągnąć całej sonosferze. Reżyserka zdecydowanie wiedziała na kogo postawić. Maja Kleszcz i Wojtek Krzak, byli członkowie Kapeli ze Wsi Warszawa, twórcy projektu incarnations. Suma ich dwojga to doskonale wycucie tego, w jaki sposób muzycznie podać antyk i Szekspira Polakom. Muzyczne tło spaja całą sztukę w jedno. Jest ono wszechobecne, przyciąga jak magnes, szczerze mówiąc jest tym, co oprócz scenografii trzyma widza w niewidzialnych szponach przedstawienia. Muzyka Krzaka hipnotyzuje, a dźwięki wbijane przez Maję Kleszcz w bębny widzów dokonują kolejnego etapu dzieła uwielbienia. Oglądając, miałem wrażenie, że kiedy ta drobna dziewczynka wydobywała z siebie majestatycznie brzmiące tony publiczność wodzona była jak marionetki na sznurkach. Każdy, ale to dosłownie każdy, choć na chwilę wpadł w trans. Słowem - wieszcząca Kasandra, bo to właśnie w nią wcieliła się Kleszcz, kradła całą scenę tylko dla siebie.

Patrząc moim okiem, te dwa ogromne plusy, do których zresztą musiałem dojrzeć i uświadomić je sobie już po spektaklu, dźwięgają całe przedstawienie. Trochę gorzej wygląda dla mnie sprawa z wartościami pozostałymi. Dość bolesne było dla mnie doświadczenie fabuły. Płytkiej, jałowej, łatwej do przewidzenia, której brakuje elementów zaskoczenia. Najbardziej jednak fatalną zagrywką reżyserki były wątpliwej jakości żarty dla rozluźnienia atmosfery i, jak ja to widzę, spospolicenia bohaterów.

W tym miejscu zaznaczę, że zdaję sobie sprawę w metaforyczności dzieła Dudy-Gracz, ale jednocześnie, pisząc o sztuce, warto znajdować swój własny punkt odniesienia do tego pisania właśnie. Dla mnie jest nim tytułowa Porcelanka. Dosłowna porcelanka. Obiektywnie rzecz ujmując wydaje mi się, że reżyserka chciała pokazać, że uśmiercając pewien porządek świata możemy zrodzić jeszcze gorszy. Bez metafor, mam wrażenie że sztuka Dudy-Gracz, jako ta porcelanka właśnie, pękła dość szybko i potem można było już jedynie zachwycać się jej odłamkami. Wspomnianą scenografią i hipnotyzującymi dźwiękami. Patrząc na fabułę, dialogi i to, w jaki sposób aktorzy zostali przez reżyserkę poprowadzeni, nie wierzyłem, że to ta sama reżyserka, którą zachwycają się krytycy i znawcy teatru. Jak już wspomniałem, nie jestem pasjonatem teatru, tym bardziej znawcą. Jestem zwykłym widzem, z niemałą jednak wrażliwością. Każdą sztukę odbieram sercem, sercem oceniam i według mnie nijak do rzeczywistości mają się słowa recenzji z oficjalnej strony Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie - „(...) po dwuletniej przerwie od świetnie przyjętego „Ojca” i spektaklach zrealizowanych w Łodzi i Wrocławiu, (...) wybitna reżyserka po raz kolejny obdarza nas prawdziwą uczcią – znakomitą, przejmującą, ale także zabawnym tekstem (...)”. Ja widzę to zupełnie inaczej. Szekspir ma swój smak, jego żart jest prawdziwym żartem. Wysmakowanym, trafiającym w dobre gusta. „Porcelanka” z tego smaku sobie nieco zakpiła. W moim przekonaniu, w bardzo negatywnym tego słowa znaczeniu. To co miało być śmieszne okazało się żałosne i tandetne, szczególnie rozmowa Parysa i Heleny na temat jajka na drugie śniadanie. Tego typu wtrętów było więcej. O wiele za dużo. W efekcie widz otrzymuje popkulturową papkę, a reżyserka mruga w stronę publiczności, że to trochę nie na serio. Jestem zdania, że wybitni reżyserzy takiego „mrugawstwa” nie potrzebują. Jeśli mają wrażenie, że zrobiliby coś nie tak, to po prostu tego nie robią i nie bawią się z widzem w kotka i myszkę.

O jasnym promyku w fabule stanowi ciekawe uczucie zawieszenia w czasie. Ta wojna może trwać chwilę, ale może trwać już ze trzydzieści lat. Wszyscy są zgorzkniali, Parys w Helenie nie widzi już pięknej ukochanej dla której ryzykował wojnę, a jedynie naznaczoną zębem czasu kobietę, z którą rozmawia z przyzwyczajenia, Priam też nie przypomina potężnego króla, jest nieudolny, sfeminizowany i zinfantylizowany, a Achillesowi długotrwałe stosowanie błyszczysz starszy z synów króla Troi. W moich oczach Hektor zdaje się mówić „gdybym tu nie mieszkał, to poszedłbym do domu”. I nie ma co się mu dziwić, bowiem cała reszta to zbierania na znudzoną życiem. Zgnilizną jego trwania.

Agata Duda-Gracz mówiła, że nie przepada za współczesnym dramatem. Thumacząc dlaczego, przekonywała, że „jest powierzchowny i letni, sprowadzający wszystkie zjawiska bądź do fizjologii, bądź dewiacji”. To ja, już na koniec, w tym miejscu się pytam po co kazała biednemu Odyseuszowi rozbierać się i uprawiać sodomie? I ja naprawdę nie dam się przekonać, że to doskonała metafora wojny, jak pisał jeden z recenzentów „inwazyjne wtargnięcie na cudzy obszar”. Można to ukazać nieco mniej inwazyjnie, również zręcznie operując metaforą.

Podsumowując, „Każdy musi kiedyś umrzeć Porcelanko, czyli rzecz o Wojnie Trojańskiej” Agaty Dudy-Gracz, to wspaniałe widowisko dla oka i ucha lecz niestety nie dla ducha. Teatr powinien wzbudzać emocje, idąc tropem słów Kazimierza Brauna, że teatr jest sztuką ludzkiej zbiorowości, a aktor i widz są sprawcami powstawania teatru i jego właściwymi twórcami. W przypadku „Porcelanki” tak się nie dzieje, po obejrzeniu spektaklu czuję niedosyt i mam wrażenie nabicia w butelkę. Największym problemem sztuki jest płytkość fabuły i jej mialkość. Nie wiem czy to Agata Duda-Gracz poszła na „łatwiznę” czy coś po prostu „nie zagrało”, wiem, że po kwadransie od rozpoczęcia spektaklu zacząłem co chwilę patrzeć na zegarek.

Bartosz Śmietaniński

Zygzakiem

Opisy ciekawych życiowych przypadków mieszkańców naszego regionu znaleźć można było niegdyś w rubryce „Przepraszamy, remanent”, która ukazywała się na łamach „Słowa Ludu”. Przypominamy kilka tekstów opublikowanym w roku 1966.

Dydaktyka

Na ul. Buczka w Kielcach dwaj chuligani zaczęli przechodnia i rzucili się na niego z pięściami. Napadniętemu z pomocą pospieszył funkcjonariusz MO. Chwył chuliganów za kołnierze i, ku ich ogromnemu zdziwieniu, zaprowadził do sali treningowej bokserów klubu „Błękitni”. Tutaj kazał im nałożyć rękawice i w ringu zmierzyć siły z pięściarzami. Chuliganom natychmiast zrzędy miny, stracili buńczuczność, przyrzekali poprawę. Milicjant był jednak stanowczy. Co działo się później, nietrudno się domyślić, chociaż bokserzy byli tolerancyjni. Niemniej jednak tą lekcję pogładową, jak należy zachować się na ulicy, młodzieńcy długo będą pamiętać...

Estetyka handlu

Podobno jedną z najbardziej atrakcyjnych posad jest w Kielcach stanowisko ekspedientki w Spółdzielczym Domu Handlowym PSS. Prezes tej spółdzielni wystarał się mianowicie o specjalny fundusz na „estetykę i kulturę handlu”. W określeniu tym mieści się okresowa fryzura (czesanie, farbowanie!) oraz manicure. Stąd co oszczędniejsze kielczanki chcą otrzymać podobne świadczenia jako „deputat” do pensji. I prezes ma kłopoty z tłumaczeniem, że wszystkie etaty zajęte! Z tym, że tak estetyczne pracownice mają również wielkie powodzenie u mężczyzn, którzy kupują o wiele więcej, niż planowali.

Długie włosy...

Patrol ORMO w Starachowicach zatrzymał grupkę młodych ludzi, którzy chuliganili setnie - oto postraszyli jakąś staruszkę straszakiem, oto sterroryzowali woźnicę, itp., itd. Młodzi wyróżniali się nie tylko „dowcipnymi pomysłami”, ale także włosami do ramion. ORMO-wcy odprowadzili awanturników na posterunek i zastanawiali się nad sankcjami, które by oduczyły „złotą młodzież” wybryków. Wreszcie, konsultując się z rodzicami - wezwali miejscowego fryzjera i skłonili go do ostrzyżenia mołojców - na normalnych ludzi. Butni „bitelsi” płakali, a jak biblijni Samsonowie, bez włosów - nie mieli też żadnej siły do awantur. Rachunek uiszcili... rodzice. Dobrowolnie.

Bar-manko!

Na trasie Chmielnik-Staszów jest kilka miejscowości, w których są bary. Można tam dostać piwo, wodę sodową, zimne zakąski i... pod zakąski. Do jednego z takich barów wszedł nieznajomy mężczyzna, a zobaczywszy za kontuarem barową zapytał z miłym uśmiechem: - Co można dostać do zjedzenia, barmanko? - Co?! Jak pan powiedział?! - barmanka skoczyła jak oparzona. - No, czy barmanka może... - W imię ojca... Barmanko! Tfu! Śmiesz pan obrażać kobietę - krzyknęła jeszcze głośnie, wybiegając zza baru z łopatką w ręce. Przestraszony klient czmychnął czym prędzej nie czekając końca. Dziwował się tylko, dlaczego słowo „barmanka” tak rozsierdziło kobietę. Z czym to niektórzy ludzie kojarzą pewne zwroty!

[wybór: JK]

Przepisy kulinarne



„Łyżka za cholewą a widelec na stole” to niewielka, uroczą książeczka, wydana cztery dekady temu przez krakowskie Wydawnictwo Literackie. Jej autorzy to Stefania i Tadeusz Przypkowscy, Magdalena Samozwaniec oraz Maja Berezowska, która zilustrowała ją swymi świetnymi akwarelami. Otwierająca dzieło kulinarna gawęda Tadeusza Przypkowskiego zaczyna się od słów: „Pierwszą sztuką świata była - sztuka mięsa! Bo przecież nie był sztuką świeży, jeszcze krwawiący (choć niektóre kuchnie dotychczas przy nim pozostały) kawał mięsa, czy to surowy, czy choćby nad ogniskiem przypalony. Ale już sztuką było przyprawienie wody solą i ziołami, by tenże kawał mięsa, odpowiednio przysmaczony, na sztukę mięsa zamienić!”

Pani Stefania podała zaś garść kulinarnych polskich przepisów. Oto niektóre z nich.

Bigos polski

Drobno pokrajane kawałki wołowiny, wieprzowiny, zająca, perliczki (zamiast zająca i perliczki może być kaczka) poddusić dobrze wraz z cebulą, na maśle, dodać nieco dobrej kiełbasy i surowego boczku. Wrzucić mięsa do gotującej się kiszzonej kapusty, gotować 8-10 godzin, potem kilkakrotnie mrozić w lodówce lub zimą na dworze i zagotowywać ponownie, dodając nieco powideł śliwkowych i do smaku kieliszek madery.

Szczupak faszerowany „po żydowsku”

Ogolonego z łuski szczupaka (szczupaka nie skrobie się jak inne ryby, lecz goli bardzo ostrym nożem) wymyć w kilku wodach, wyjąć dolną szczękę i wyciągnąć tędy wnętrzności, przeciąć następnie grzbiet ryby przy samej głowie, tak by się głowa nie łączyła kręgosłupem z całością, i ściągnąć skórę wraz z głową, od niej poczynając aż do ogona, który przy skórze pozostawić. Mięso ryby drobno posiekać nożem wraz z dwiema surowymi cebulami, nieco dolewając wody, dwiema łyżkami tartej suszonej bułki i dwoma żółtkami; posolić, popieprzyć do smaku, wysypać garść siekanej natki pietruszkowej, wymieszać dobrze i nadziać tym skórę szczupaka. Otwór przy głowie zaszyć, wyrównać rybę gładko i włożyć do wanienki do ryb. Pół godziny gotować w wywarze jarzynowym. Po ostudzeniu przystroić gotowanymi jarzynami i podać z sosem tatarskim.

Pieczeń wołowa lub cielęca z estragonem

Kilogram mięsa wołowego lub cielęcego natrzeć dwiema łyżkami drobno startego estragonu i ustawić w chłodzie na dwa dni. Cielęciny można lekko skropić winnym octem (winny ocet powinien być w ogóle stosowany z moczącymi się w nim gałązkami estragonu). Po dwóch dniach obsmażyć na maśle i dusić pod szczelnym przykryciem, dolewając po trochu wody. Dla podniesienia smaku można do pieczeni wołowej dawać wodę z wytrawnym czerwonym winem, do cielęcej z białym wytrawnym winem. Podawać wołową z borówkami i buraczkami, cielęcą z mizerią i marchewką z groszkiem.

Schab z szałwią

Kilogram schabu, 100 g masła, 2 łyżeczki szałwii, sól do smaku. Schab odciąć od kości, natrzeć dobrze szałwią i solą, na trzy dni zostawić w chłodzie. Obsmażyć na maśle i dusić pod przykryciem na bardzo małym ogniu, dolewając po trochu wody. Można pod koniec dodawać do wody koniaku. Podawać z zielonym groszkiem.